

Octavio Paz „Niebieski bukiet”

Zbudziłem się oblepiony potem. Ze świeżo skropionej wodą, ceglanej podłogi unosiła się gorąca para. Oślepiony żółtawym światłem motyl o szarych skrzydełkach krążył wokół żarówki. Zeskoczyłem z hamaka i boso przeszedłem przez pokój, uważając, aby nie nastąpić na jakiegoś skorpiona, który opuścił swoją kryjówkę by zaczerpnąć świeżego powietrza. Podeszedłem do niewielkiego okna i odetchnąłem wiejskim powiewem. Słysząc było oddech nocy, ogromny i kobiecy. Wróciłem na środek pokoju, wodą z dzbana napełniłem cynową misę i zwilżyłem w niej ręcznik. Namoczoną szmatą przetarłem tułów oraz nogi, osuszyłem się, i upewniwszy się że w fałdach ubrań nie skrywa się żadne robactwo, ubrałem się i włożyłem buty. Podskakując zszedłem po zielonych schodach. Przy drzwiach gospody wpadłem na właściciela, jednookiego, małowównego mężczyznę. Siedząc, na wiklinowym krzeselku, z przymrużonym okiem palił papierosa. Ochrypłym głosem zadał mi pytanie:

-Dokąd Pan idziesz?

-Przejdź się. Jest bardzo gorąco.

-Hmmm, wszystko już pozamykane, a w okolicy nie ma żadnych latarni. Lepiej Pan zostań.

Wzruszyłem ramionami, wymamrotałem „niedługo wrócę” i zanurzyłem się w ciemność. Początkowo nie widziałem nic. Po omacku przemierzałem brukowaną ulicę. Zapaliłem papierosa. Nagle zza czarnej chmury wyłonił się księżyc, oświetlając pobielany, rozkruszony w niektórych miejscach mur. Zatrzymałem się oślepiony tą bielą. Zawiał delikatny wiatr. Odetchnąłem powietrzem o zapachu tamaryndowców. Noc tętniła przepełniona dźwiękiem liści i owadów. Pośród wysokich traw biwak swój miały świerszcze. Odchyliłem głowę: tam na górze gwiazdy również rozbiły swój obóz. Pomyślałem, że wszechświat to rozległy system znaków. Rozmowa między przeogromnymi istotami. Moje czyny, cykanie świerszcza, migotanie gwiazd, były niczym innym jak tylko pauzami i sylabami, rozproszonymi zdaniem z pewnego dialogu. Jakie mogło to być słowo, którego jedną z sylab byłem ja? Kto i do kogo je mówi? Rzuciłem papierosa na chodnik. Spadając niczym mała kometa, nakreślił łuk światła rozrzucając krótkie iskry.

Spacerowałem pomału przez dłuższą chwilę. Czułem się wolny i bezpieczny pomiędzy ustami istot, które w tamtym momencie wypowiadały mnie z taką radością. Noc była ogrodem oczu. Przechodząc przez ulicę, poczułem jak ktoś odrywa się od bramy. Odwróciłem się, ale niczego nie mogłem rozpoznać. Przyspieszyłem. Chwilę później usłyszałem szuranie sandałów po gorących kamieniach. Nie chciałem odwrócić się, jednak czułem że cień zbliża się z każdym krokiem. Próbowałem biec, jednak nie byłem w stanie. Nagle zatrzymałem się. Zanim nawet mogłem zacząć się bronić, poczułem na plecach ostrze i usłyszałem łagodny głos:

-Niech się Pan nie rusza, albo go wbiję.

Nie odwracając się zapytałem:

-Czego chcesz?

-Pańskich oczu- odpowiedział delikatny, nieomal bolesny głos.

-Moje oczy? Po co Ci one? Słuchaj, mam przy sobie trochę pieniędzy. Niewiele, ale zawsze coś. Jeśli mnie zostawisz, oddam Ci wszystko co mam. Nie zabijaj mnie.

-Proszę się nie bać. Nie zabiję Pana. Wystarczy, że wyłupię oczy.

-Ale na co Ci moje oczy?

-To zachcianka mojej narzeczonej. Chce bukiet z niebieskich oczu. Tak niewiele osób tutaj takie posiada.

-Moje oczy Ci się nie przydadzą. Nie są niebieskie lecz bursztynowe.

-Oh, niech Pan nawet nie próbuje mnie oszukiwać. Dobrze wiem, że są niebieskie.

-Nie zabiera się oczu bliźniemu. Oddam Ci coś innego w zamian.

-Nie zgrywaj hojnego samarytanina- powiedział ostro. Odwróć się.

Odwróciłem się. Był mały i wąty. Słomiany kapelusz zakrywał mu połowę twarzy. W prawym ręku trzymał maczetę, która pobłyskiwała w świetle księżyca.

-Pokaż mi swoją twarz.

Podpaliłem zapałkę i zbliżyłem płomień do twarzy. Blask sprawił, że przymrużyłem oczy. Silną dłońią rozwarł moje powieki. Jednak nie widział dobrze. Stanął na palcach i wpatrywał się intensywnie. Płomień parzył mi palce. Wyrzuciłem zapałkę. Zapadła chwila ciszy.

-Przekonałeś się? Nie są niebieskie.

-Jaki Pan cwany!- odpowiedział- Dla pewności. Zapal następną.

Podpaliłem kolejną zapałkę i zbliżyłem do oczu.

Chwyciwszy mnie za rękaw, wydał rozkaz:

-Uklęknij.

Przyklęknąłem. Jedną ręką złapał mnie za włosy, odciągając głowę do tyłu. Pochylił się nade mną zaciekawiony i spięty, podczas gdy maczeta powoli opuszczała się, aż musnęła moje powieki. Zamknąłem oczy.

-Otwórz je szeroko- zażądał.

Otworzyłem. Płomień przypalał mi rzęsy. Nagle mnie puścił.

-Ależ one nie są niebieskie. Obejdę się bez nich.

I zniknął. Z twarzą ukrytą w dłoniach oparłem się o ścianę. Chwilę później zebrałem się w garść. Potykając się, upadając i próbując wstać, biegłem przez godzinę poprzez opustoszałą wioskę. Kiedy dotarłem na plac, zobaczyłem wciąż siedzącego przed drzwiami właściciela gospody. Wszedłem bez słowa.

Następnego dnia w pośpiechu opuściłem tamtą wieś.